

Dolar w Warszawie

5.185

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie w Łodzi	złotych	1.85
" " kraju	"	2.50
" " zagranicą	"	4.00

Odniesienie do domu 15 groszy miesięcznie „Kurier Wieczorny” łącznie z „Głosem Polskim”, wraz z odniesieniem 4.80 złotych miesięcznie.

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska nr. 106
Telefon nr. 7-99.

Rynek pieniężny.

Istotne wymagania pogotowia obronnego.

Jak było do przewidzenia, so-
wiele w sprawie napadu na Stołb-
ce dały odpowiedź, pełną fałszu i
złej woli. Według nich banda, któ-
ra wpadła na nasze terytorium, by-
ła poprostu pozostałością oddziału
zbrojnego, który wkroczył był pier-
wotnie na ich terytorium i został
stamtąd wyparty. Rząd sowiecki
dodaje, że w swoim czasie pro-
ponował nam uregulowanie ochrony
pasa granicznego i rząd nasz pro-
pozycji tej nie przyjął.

Odpowiedź sowieków usuwa de-
finitywnie nadzieję dojścia z nimi
do porozumienia. Dla odparcia i
zneutralizowania naszych słusz-
nych pretensji puszczają one w
świat wersje, jakoby to z Polski do
nich wpadały bandy zbrojne i wrac-
ały z powrotem do nas. Nie mo-
żemy w danym razie odwoływać
się do jakiegś bezstronnej eksper-
ty, do komisji międzynarodowej,
gdyż Moskwa czy Mińsk propo-
zycję podobną odrzucił, nie mamy
również wystarczających środków
do wywarcia na sowieki skutecz-
nego nacisku i zmuszenia ich do
poprawnego, pokojowego postępo-
wania. Musimy zatem sami podjąć
środki do obrony naszej granicy,
nie zaniedbując zresztą wyprowa-
dzenia z odnośnych faktów pew-
nych konsekwencji w naszej poli-
tyce zagranicznej.

Zwracaliśmy już uwagę, że w
naszym interesie leży nadanie jak-
największego rozgłosu faktom ban-
dytyzmu sowieckiego na naszym
pograniczu, a także zdobycie do-
wodów, któreby w oczach opinii
zagranicznej mogły dostatecznie
zdemaskować ich ukrytą reżysję.
Nasz urząd spraw zagranicznych
zamiast wstydliwego czy lekliwe-
go omijania tych rzeczy w swych
notach powinien się postarać o
nałóżenie poinformowanie o nich
rządów zagranicznych i opinii pu-
blicznej. Jest to sprawa nader ak-
tualna w czasie, kiedy na porządku
dziennym ligi narodów stoją
projekty arbitrażu i rozbrojenia i
kiedy jest mowa o zaproszeniu do
tejże ligi Rosji. Przecież, gdy przy-
jdzie do tego, nie kto inny tylko
Polska musi ludzi postawić kate-
goryczne pytanie, czy może ona
tolerować fakty organizowania no-
torycznego bandytyzmu przeciw
sąsiedniemu państwu. Jeżeli nasz
urząd do spraw zagranicznych o-
bowiazku tego zaniedba, jeżeli tej
sprawy wobec opinii zagranicznej
nie zwróci uwagi, to możemy
się doczekać potwornego przeina-
czenia tych faktów i zrobienia z
nich oręża agitacyjnego przeciw

Polsce. Jeżeli dokoła notorycznego
faktu band zbrojnych propaganda
bolszewicka snuje kłamliwą wer-
sję, a z naszej strony panuje nie-
mał zupełnie milczenie, to jakież
odbiera się wrażenie w Europie i
jakież musi się wytwarzać przekon-
anie? Oczywiście na naszą nieko-
rzyść.

Rosja sowiecka chce zmienić na-
sze kresy w jakieś Dzikie Pola, na
których stale mają krążyć czambu-
ły i zbrojne bandy. Ale na Dzi-
kich Polach nie było osiadłej lud-
ności, gdy tymczasem na kresach
wschodnich mieszkały miliony, któ-
rym państwo nasze winno jest dać
obronę i opiekę. Utworzenie spe-
cjalnego korpusu straży granicz-
nej ma być bezpośrednim środ-
kiem ochronnym przeciw napadom
bandyckim. Celowość tego środka
nie budzi żadnych wątpliwości po-
mimo znacznych kosztów, jakie
z konieczności pociągnie. Ale pil-
ne zadania organizacyjne i admini-
stracyjne na kresach nie powinny
przez to doznać uszczerbku.
Wszak system obronny, o jakim
mowa, może trwać całe lata, czyż
podobna na tak długo odkładać po-
zytywną pracę, która najsukcesyj-
niej przyczyni się do uspokojenia
miejscowych fermentów i stępie-
nia ostrza zagranicznej agitacji.
Sprawą palącą na kresach jest da-
nie im dobrych administratorów,
którzyby umieli się orjentować w
trudnych stosunkach miejscowych
i rozumieli potrzeby ludności.

Zadania tego z pewnością nie
rozwiążą dwaj pozasłużbowi ge-
nerałowie, których rząd powołał na
stanowiska wojewodów, a z któ-
rych żaden nie okazał uzdolnień
w zakresie administracyjnym. Czyż
chodzi tylko o zapewnienie współ-
działania władz wojskowych i cy-
wilnych, czyż dla tego celu można
de facto na czas nieokreślony
wprowadzać rządy wojskowe do
kraju, w którym powinna się roz-
wijać ożywiona praca twórcza w
różnych dziedzinach życia. Do tej
pracy bezwarunkowo nie nadają
się wojskowi administratorzy; w
najlepszym razie mogą oni utrzy-
mać mechaniczny „porządek” i
spokój, gdy w istocie chodzi o coś
innego, o zjednoczenie obszarów
wschodnich z Polską węzłami głę-
bokiej, organicznej łączności. To
wielkie zadanie stanowi jednocześnie
podstawę i uzupełnienie na-
szych środków obronnych i nie
wolno go zaniedbywać albo podpo-
rządkowywać innym dorywczym
celom.

J. Mazurski.

Gniazdo rozpusty i występku.

Tajemnice klasztoru moskiewskiego.

Jakby z „Dekameronu” wyjęta
jest historia, która była przedmio-
tem dochodzeń sądowych w Mos-
kwie.

Do przeora jednego z moskiew-
skich klasztorów
zgłosił się przed półtora rokiem u-
rodny młodzieniec,
prosząc go o przyjęcie w charakte-
rze zakonnika.

Chłopak powoływał się na
pokrewieństwo z patriarchą Ticho-
nem.

więc bez trudności został przyjęty
do klasztoru.

W kilka dni potem zgłosił się u-
rodny nowicjusz do przeora
i zdradził mu tajemnicę swego ży-
cia.

Wyznał że jest dziewczyna, a
do przywdziania szat męskich zmu-
siła ją wyjątkowa nędza
i brak jakiegokolwiek zajęcia.

Przeor polecił pozostać dziew-
czynę w klasztorze i
nie zdradził nikomu powierzonej
sobie tajemnicy.

Lecz bratśkie Aleksey, takie by-

ło bowiem klasztorne imię przebra-
nej za chłopca dziewczyny,
poczuł się matką.

Wtedy przeor zapatrzył ją
w skromną sumę pieniężną i naka-
zał opuścić klasztor.

Skoro uwiedzioną dziewczyną
została matka i zasilek otrzymany
od przeora skończył się,
znowu zagłębiła się nędza w oczy
Nie mogąc ścierpieć nędzy,
zamordowała dziecko i targnęła
się na własne życie.

Lecz uratowana ją od śmierci —
wtedy zrozpaczona wyznała histo-
rię swej niedoli.

Przeciwko przeorowi wdrożono
śledztwo

albowiem nieszczęśliwa matka li-
czyła dopiero 15-ty rok życia.
Proces wyzyskały sowieci do agita-
cji politycznej

i nadały mu jaknajwięcej rozgłosu,
ku czemu przyczyniły się niemało
zeznania moskiewskich mnichów,
dowodzące, iż wcale przyjemnie i
wesoło płynęło im życie

zgoła nieaspetyczne.

Charles Dawes.

Anegdotki o jego kom-
pozycjach i fajce.

Bankier i generał z Chicago Charles
Dawes, którego „plan” tak wielką ode-
grał rolę w pracach nad uregulowaniem
pokojowych stosunków w Europie, któ-
rego nazwisko wymawiane rozmaicie
brzmi krótko i wężlowato „Doos”, nie
jest wcale tak nudnym panem, jak jego
— sprawozdanie.

Przed laty bowiem Charles Dawes za-
mówił się muzyką i skomponował na-
wet „Melodie „A-dur” n askrzypce.
Wirtuoz Fritz Kreisler grywał ową
„Melodię” na koncertach, a nawet za-
grał ją dla gramofonu i odtąd Dawes jest
uwieczniony na płycie.

To zapewne zachęciło Dawesa do dal-
szych prób na polu twórczości, bo na-
pisał jeszcze „Symfonie” i preludium or-
kiestrowe.

Obie kompozycje cieszyły się wielkim
powodzeniem.

Obecnie jest Dawes wiceprezydentem
opery w Chicago, lecz zajmuje się tylko
stroną finansową przedsiębiorstwa. U-
bocznie występuje generał Dawes także
w roli... protektora talentów.

Nietylko jednak muzyczne zdolności
czynią Dawesa człowiekiem interesują-
cym. Przyczyną się do tego także jego
fajka, zwana pospolicie „fajką Dawesa”.

Jest to oryginalny okaz, który ma swo-
ją historję. Oto robotnik fabryczny z Chi-
cago, nazwiskiem Lyon, utracił wskutek
nieszczęśliwego wypadku prawe ramię,
co za tem idzie, — posiada.

Lyon wziął się więc do fabrykacji faj-
jek, oczywiście lewą ręką.

Nie było to, jak łatwo się domyśleć,
artystyczne wylwory.

Pewnego dnia — opowiada Lyon —
zobaczyłem portret generała Dawesa w
pewnym dzienniku. Zwróciłem przede-
wszystkiem uwagę na to, że generał
trzyma w ustach fajkę. Ponieważ mi się
fajka generała nie podobała, posłałem
mu jedną moją wyrobu. Generałowi
tak przypadła moja fajka do gustu, że
odtąd zostałam jego dostawcą. Co więc,
poleciał mnie swoim przyjaciółm i
znajomym.”

Opowiadają również, że gdy gen. Da-
wes został przewodniczącym komisji
rzeszoznawców, zabrał ze sobą do Euro-
py cały transport fajek Lyona, aby je
rozdać w podarunku angielskim, francu-
skim i niemieckim mężom stanu.

W ten sposób stała się fajka Lyona po-
пулярną, a kateka nie może jedną ręką
podać liczny zamówieniom wielbi-
cieli Dawesa.

Gdy Lyon bardzo pilnie pracuje, może
na miesiąc wytoczyć 1000 fajek. Cóż jed-
nak uczyni nieszczęsny, skoro w ostat-
nich czasach zamówiono u niego aż
75000 sztuk?

Doskonale zresztą reklama dla Lyona
są portrety Dawesa, umieszczane teraz
tak często w pismach amerykańskich z
podpisem: „Dawes and his pipe”.

„Ofiarowałem generałowi prowizję
skarży się Lyon jednemu z dziennikarzy
amerykańskich — ale wyrzucił mnie za
drzwi, gdy tylko zacząłem o tem mó-
wić”.

Prasa amerykańska zamieszcza teraz
całą serję anegdotek o Dawes’ie ze
względu na jego kandydaturę na wice-
prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W razie wyboru zostałby Dawes mia-
nowany przewodniczącym senatu i, jak
twierdzą dowcipniści amerykańscy, przy-
dałby mu się wówczas jego zdolności
muzyczne, bo dyrygowałby senatem do
— taktu.

Banda opryszków w Kie- leckiem.

Olbrzymie, geste lasy w powiecie Ko-
neckim sprzyjają rozwojowi bandytyzmu.
To też wielu opryszków, którym udało
się uciec z więzień, schroniło się w nich,
skąd

dokonują systematycznych napadów,
zwłaszcza w okolicy wsi Bryzgów, Bo-
kowice, Rusilów, stając się plagą mie-
szkańców.

W ostatnich dniach
zamordowana została przez bandytów
młoda dziewczyna.

Chłopi boją się zbliżyć do tych lasów
i stronią od nich.

Niedawno ze wsi Bryzgowa uciekło
kilku parobków i przyłączyło się do
bandy.

Władze zajęły się energicznie zlikwi-
dowaniem bandy.

dotychczas jednak nikogo nie schwytano,
zapewne ze względu na brak odpowied-
nie sił policyjnych.

Co się dzieje w Polsce?

Zjazd inżynierów kolejowych.

W drugim i trzecim dniu zjazdu zwa-
ku inżynierów kolejowych

obradowała komisja organizacyjna i
eksploatacyjna.

Przyjęto szereg wniosków, dotyczą-
cych organizacji ministerstwa komunika-
cji i technicznych spraw kolejowych, a
miedzy niemi pracy parowozów, napra-
wy torów kolejowych i t. d. Ponadto
omawiano wyniki prób z nowymi paro-
wozami.

W trzecim dniu zjazdu
zwiedzano główne warsztaty kolejowe i

urządzenia ochronne na dworcu poznań-
skim.

Przy tej sposobności odbył się pokaz
wozów na stacji Poznań.

W końcu
dokonano wyborów rady głównej komi-
tetu zjazdu.

Prezesem rady wybrani inż. Holcman,
zastępcę inż. Gasowskiego. Jako przed-
stawiciel Małopolski do rady zjazdu
wszedł inż. Rybicki, a jako przedstawiciel
Wielkopolski inż. Skupiecki.

Następny zjazd uchwalono odbyć w
czerwcu roku 19

Schwytanie mordercy po 5 latach.

Pewnej nocy lipcowej w r. 1919
zabity został w Warszawie w sposób
skrytobójczy jeden z żołnierzy-wywia-
dowców.

Podjęcie o dokonanie tej zbrodni
padło odrazu na niejakiego Klemensa
Narbertowicza, czynnego członka partii
komunistycznej, zamieszkałego przy ul.
Nowolipie 10. Przypuszczenie to zna-
zło

potwierdzenie w ucieczce Narbertowicza
jak i w wynikach rewizji,
dokonanej przez żandarmerję w jego mie-
szkanie. Znalezione tam ukryty w ko-
mórze istny arsenał:

rewolwer, amunicja, bomby, granaty
oraz benzynę i naftę do podpalania.

Poszukiwania za zbiegłym były bez-
skuteczne; policja polityczna, która spra-
wę tę przejęła z rak żandarmerji, zdo-
łała tylko ustalić, że

Narbertowicz przenosi się z miasta do
miasta.

zamieszkując w każdym krótko pod fał-
szywymi nazwiskami Józefa Czajkow-
skiego lub Józefa Olejniczaka,
zaopatrzony w szafczowane przez siebie
dokumenty.

Upłynęło 5 długich lat od chwili doko-
nania zbrodni, a Narbertowicz był ciągle
nieuchwytny. „Zawzięt” się jednak na
mordercę przewodnik policji śledczej Ka-
rol Zieliński i wreszcie
zdołał odnaleźć ostatnią jego kryjówkę.

Znajdowała się ona

w lesie pod Stara Mitosną.

W niewielkim domku, należącym do

niejakiej Kiszkowej, mieszkał Narberto-
wicz wraz z żoną i dzieckiem.

Onegdaj aresztowano go i umieszczono
w aresztach policji politycznej,
skąd po śledztwie prewencyjnym prze-
kazany zostanie władzom sądowym.

Widmo „szarego pana”.

Od kilku lat warszawiacy, a zwsz-
cza warszawianki, bawiące na wywca-
sach w Świdrze,

uskarżają się na jakiegoś „szarego pana”
który zachowuje się w sposób zasługują-
cy na lekką naganę. Jest to podobno
widmo mężczyzny, ubranego w szary ko-
stium staroświecki.

Ów „szary pan” zyskał już wielką po-
пулярność w kilku rodzinach. Miedzy in-
nemi, p. inżynierowa Marja K.,
żona referenta dyrekcyi państwowego
monopolu tytoniowego, cieszy się specjał-
nem względami zjawy.

Inżynierowa co rok wyjeżdża do Świ-
dra, zmieniając za każdym razem mie-
szkanie. „Szary pan” pozostaje jej wier-
ny i

gdy tylko młoda mężatka przyjedzie na
letnisko, ukazuje jej się niezwłocznie.
Możnaby to zauważyć za halucynację,
jednak przeczą temu opowiadania lic-
nych świadków.

A więc, przedewszystkiem,
Jedną z Marysli, dzieci pp. K., widują
często „szarego pana”.

widują go o zmroku w ogrodzie, spoty-
kają na werandzie.

Czyżby zemsta z za grobu?

Przed kilku laty majster mularski p. T.
nabył kamienicę przy ul. Freta nr. 12 w
Warszawie.

Przy kupnie p. T. zobowiązał się słow-
nie
odstąpić byłej właścicielce tego domu p.
I. jeden pokoi,

sasiadujący z jej pokojem i mieszkaniem,
które po wielu trudach pani I. zdołała
zwolnić na podstawie wyroku sądu od
samowolnie zajmujących go lokatorów i
oddawać je panu T.

Nowy właściciel domu, wraz z żoną,
wprowadził się do lokalu byłej właście-
cielki,

powtórnie obiecując odstąpić jej jeden
pokój z danego mu mieszkania.

Pani I. liczyła chwile, gdy już będzie
mogła w większym lokalu zamieszkać,
gdyż pokoi, w którym mieszkała, był
tak ciasny, że dwie osoby nie mogły
przejść obok siebie.

Lecz murarz widać zapomniał o swych
zobowiązaniach
i nietylko pokoju nie odstępował, lecz
pewnego dnia,

gdy staruszka pani I. leżała chora, jako
fachowiec kazał zamurować drzwi od
pokoiku p. I.,

i w ten sposób pozbawił ją zupełnie na-
dzziej uzyskania sąsiedniego pokoiku.

Nie pomogły prośby i narzekania po-
krzywdzonej,

p. T. pokoiu nie odstąpił i był twardy,
jak... murarz!

Pani I. była bardzo tem przejęta, cier-
piała i wciąż mówiła:

— Nie wiele mi zostało, lecz za moje
cierpienia.
za moją krzywdę, Pan Bogu skarzę!

Po upływie roku

staruszka umarła;

właściciel domu uniknął co prawda sta-
tych jej narzekań, lecz
w domu jego rozpoczęła się tragedia.

powodem której była jego żona.
Zaczęła ona wykazywać silne zdemor-
wowanie, które zakłócało spokój rodzi-
ny, a następnie

doprowadziło ją do zamachu samobój-
czego.

Dzięki natychmiastowym zabiegom le-
karskim pani T. była uratowana, lecz
zdemorowanie poczęło przyjmować bar-
dziej niebezpieczne objawy, wskutek
czego

została umieszczona w zakładzie dla
nervowo chorych.

Nie długo jednak tam pozostawała,
wróciła do domu, czując się lepiej.

Po upływie dłuższego już czasu nasta-
pił jednak

ponowny zamach samobójczy:

i tym razem pani T. była szczęśliwie u-
ratowana, lecz

choroba nerwowa rozwinęła się ponow-
nie z taką siłą, że najbliższe otoczenie

radziło powtórnie umieścić ją w zakła-
dzie.

Gdy decyzja rodziny w tej sprawie je-
szcze nie zapadła, nieszczęśliwa kobie-
ta, korzystając z tego, że pozostała w
mieszkanu sama, w stanie silnego zde-
nerwowania

porwała się po raz trzeci na własne ży-
cie i wyskoczyła z okna swego mieszka-
nia na bruk.

Po udzieleniu pomocy, została przewie-
żona do szpitala Jana Bożego, gdzie
walczy ze śmiercią.

A w domu fama niesie, że jest to
„zemsta starej gospodyni...”

CO DZIEŃ NIESIE?

WRZESIEŃ

12

Piątek

Dziś: Gwidona.
Jutro: Eugenji P.Wschód s. o g. 5.04
Zachód s. o g. 5.59
Wschód ks. 5.51 pp
Zachód ks. 5.49 r.
Dług, dnia 12 g. 55 m.
Ubyło dnia 5 g. 15 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galerja sztuki**, park im. Sienkiewicza wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

„Teatr Miejski”: „Sluby panieńskie” (Premjera)**„Casino”**: „Romans królewski”.**„Odeon”**: „Mały grajak”.**„Luna”**: „W kajdanach małżeństwa”.**„Grand - Kino”**: „Tajemnicze małżeństwo”.**Kino współdz. pracown. państwowych**: „Precz z Mężczyznami”.**„Nowości”**: „Człowiek czynu”.

Czeladnikowi krawieckiemu podobno dzieje się krzywda.

Tak przynajmniej twierdzi on sam i jego związek.

Otrzymał list następujący:
Szanowny Panie Redaktorze!

Wobec ukazania się w prasie notatki o strajku pracowników krawieckich w Łodzi, prosimy o łaskawe pomieszczenie w Pańskim poczytnym piśmie następującego listu:

Słuszne jest podkreślenie zdanie całej prasy, że pobieranie 100 — 130 złotych za robocizne ubrania z dodatkami jest za wysokie i niedostępne dla najszerzych mas społeczeństwa. Lecz zgola mylnie jest pojęcie, że winę za tę drożyznę ponoszą również pracownicy krawieccy. Otóż niektóre liczby:

Robocizna jednej marynarki I-iej kategorii kosztuje 35 złotych, II-iej kat. — 27 zł. Więcej jak 1 i pół marynarki I-iej kat., a 2 marynarki II-iej kat. pracownik krawiecki w przeciągu tygodnia — licząc przy normalnym dniu pracy — nie potrafi uszyć. Najwyższy więc zarobek najbardziej wykwalifikowanego pracownika wynosi 50 — 54 zł. tygodniowo. O ile weźmiemy jeszcze pod uwagę czas bezrobocia krawców w przeciągu roku, przeciętny zarobek pracownika krawieckiego znacznie się zmniejsza. Zaznaczamy przytem, że zarobki te obowiązują od marca r.b.

Również niezgodne jest z prawdą, jakoby pracownicy krawieccy przystąpili do strajku bez jakichkolwiek prób porozumienia. Natomiast jest prawdą, że w tej sprawie odbyła się konferencja pomiędzy związkiem majstrów krawieckich a związkiem pracowników krawieckich i wobec tego, że robotnicy nie mogli się zgodzić na obniżenie cen, majstrowie ogłosili lokaut, który już trwa 2 tygodnie czasu.

Z głębokim szacunkiem

Związek zawodowy pracowników i pracowni krawieckich i pokrewnych zawodów w Polsce.

Za zarząd: (podpis nieczytelny)

Czytaicie
„GŁOSPOLSKI”

Co nam chce dać teatr miejski?

Plany, zamiary i obietnice p. Nowakowskiego.

Kontynuując zapoczątkowane przez nas wywiady z reżyserami teatrów miejskich zwróciliśmy się do p. Nowakowskiego z prośbą o sprecyzowanie swych zamierzeń reżyserskich.

— Zamierzenia moje, rozpoczął reżyser, pozostają w ścisłym związku z planami dyrekcji, które dotąd są mi jeszcze nie zupełnie znane.

Obecnie pochłania mnie całkowicie praca, gdyż pragnąłbym dać teatrowi łódzkiemu maksimum tego co dać mogę. Reżyseruję więc „Sukienkę” Nicodemiego, gdzie też i gram z świetną partnerką p. Jarkowską.

W każdym bądź razie „pale” się jako reżyser, raczej do sztuk współczesnych, a jako aktor — do repertuaru wielkiego.

— Jak się pan zapatruje na koncepcję teatru eksperymentalnego w Łodzi? — zapytujemy.

— Uważam, że powstanie takiego teatru jest niewątpliwie zjawiskiem dodatkiem i pożądanem, a pracy swej i w tym teatrze nie poskapie.

Wracam właśnie z Paryża, gdzie otarłem się o ryl prawdziwej twórczości teatralnej. Stamtąd właśnie przywożę kilka sztuk, które chciałbym bardzo wystawić w teatrze miejskim lub w Studio.

Widziałem świetną komedję — farsę Ganderry p. t. „La dame de chambre”, rzecz miłą i lekką jak pianka.

Chciałbym też wystawić coś Crommelyncka, nie „Rogacza

wspaniałego”, może i Wedekinda, utwór jakiś, nieznan.

— Czy uważa pan za słuszne twierdzenie o upadku naszej twórczości dramatycznej, mogąc ją porównać z produkcją literacką Paryża?

— Oczywiście. Pewna część ludzi u nas jak np. Rostworowski przeżyła się zupełnie. Inni dają rzeczy przeciętne. Tem właśnie tłumaczę sobie poniekąd i powodzenie mojego utworu „Tajemniczy pan”, który zamierzam wystawić w Łodzi.

— Wystawi pan również w Łodzi jeden ze swoich następnych utworów?

— Będzie to zależało od wielu okoliczności. Piszę właśnie „coś”. Nazywa się to „Puhar wędrowny” ale niema nic wspólnego ze sportem. Wykończę na styczeń — luty, a wówczas dopiero będzie można mówić o realizacji scenicznej.

W każdym bądź razie rad jestem niezmiennie z pobytu w Łodzi ponieważ uważam, że dużo tu jest do zrobienia.

Z faktu tego zdaje sobie sprawę cały zespół i dlatego właśnie pracą wre i kipi.

Ta okoliczność pozwala mi rokoować jak najlepsze nadzieje co do przyszłości teatru w Łodzi.

Narazie pochłania mnie całkowicie praca, praca i jeszcze raz praca, kończy p. Nowakowski, spiesząc na próbę „Sukienki”.

mk.

O tem p. dr. Fichna zapomnieli.

A kanalizację z obłoków ściągnie tylko zgodny i jednomyślny wysiłek całej rady miejskiej.

Analizując rezultat prac ubiegłej sesji rady miejskiej, a zwłaszcza poziom obrad i sposób ich prowadzenia, nie można się oprzeć pewnemu uczuciu niesmaku i niezadowolenia. Poziom tych obrad bardzo często sprawiał wrażenie bałaganu, gdzie z rzeczy poważnych można się serdecznie uśmiechać.

Zazwyczaj bowiem rada miejska trwała w boskim far niente, a wówczas nuda rozsiadała się w archygodnych fotelach radzieckich, albo też ożywała się, gdy chodziło o niedopuszczenie opozycji do głosu, a wtedy posiedzenie kończyło się oryginalnym bokserskim epizodem, a la walka r. Zubert contra Milman i Lichtenstajn.

Tego rodzaju burdy i awantury, które miały miejsce dość często i stały się poprostu przysłowiowe. Mówiono sobie o radnych:

— Biją się jak w Malinowej.

A pan prezes patrzył na te „rodzajowe” i jedyne rzeczywiste w swoim rodzaju scenki z uśmiechem pobłażania, od czasu do czasu, przerzucając kartki regulaminu obrad.

Radziecka większość terrorizo-

wała zazwyczaj opozycję, niedopuszczając jej do głosu.

Tym metodom należy kres położyć, aby w przyszłości rada miejska nie zamieniła się w arenę walki atletycznych. Inicjatywa w tym względzie spoczywa w przędum rad miejskiej, które może tu uczynić bardzo wiele. Jedyne bowiem harmonijną współpracą, usunięcie atmosfery nienawiści i gwałtu, umożliwi radzie realizowanie swych zamierzeń.

Sanacja wewnętrznej sytuacji jest kwestją równie ważną jak sanacja finansów komunalnych, gdyż bez tego jest nie do pomyślenia zgodna współpraca wszystkich ugrupowań radzieckich.

Kontynuowanie dotychczasowych metod wielkości wystawia jej smutne świadectwo, a radę stawia na poziomie suwerenów miejskich Pikutowa czy Koziej Wólki.

Rozwiązanie tej kwestji ogólnej narzuca się tu siłą rzeczy, o czem zapomnieli i co pominął milczaniem w swej enuncjacji p. prezes rady miejskiej.

A o tem zapomnieć nie wolno.

A. G.

Panowie nauczyciele, nie można szemrać!

Magistrat płaci wam dodatki z łaski i jeśli zechce to może nie dać ani grosza.

„Kurjer Wieczorny” poruszył niedawno sprawę uposażenia nauczycielstwa szkół powszechnych (normalnych i specjalnych), w szczególności zaś kwestję wysokości dodatku ekonomicznego, wypłacanego nauczycielstwu z funduszków miejskich.

W związku z powyższym otrzymujemy z oddziału prasowego magistratu następujące informacje:

Nauczyciele szkół powszechnych zarówno normalnych jak i specjalnych są pracownikami państwowymi i uposażenie swe w wysokości określonej przez odrębne ustawy otrzymują ze skarbu państwa. Miasto formalnie nie jest obowiązane do żadnych świadczeń na rzecz nauczycielstwa, a dobrowolnej jednak inicjatyw

władz miejskich został przyznany nauczycielstwu dodatek ekonomiczny, wypłacany co miesiąc z kasy miejskiej. Dodatek ten zmienia się w tym samym stosunku, co i uposażenie pracowników miejskich, zależnie od wskazań komisji statystycznej. Ostatnio dodatek ten wynosi 12 zł. 37 gr. na osobę dla nauczycielstwa szkół normalnych i 49 zł. 48 gr. na osobę dla nauczycielstwa szkół specjalnych, do których zaliczone są szkoły dla dzieci chorych na jaglicę.

Podkreślić należy, że miejski dodatek ekonomiczny, jaki otrzymują nauczyciele szkół specjalnych, stanowi 33,65 proc. najniższej pensji, względnie 21,42 proc. najwyższej pensji zasadniczej, jaką otrzymuje nauczyciel wykwalifikowany ze skarbu państwa.

Pojedynek na ulicy Wólczńskiej.

Przeciwniczki odniosły rany ale odeszły w zgodzie. „On” czmychnął.

Dziś rano, około godziny 8-ej na ulicy Wólczńskiej, przed domem nr. 141, w błyskawicznym tempie rozegrała się frapująca scena rodzajowa, obejmująca bardzo szeroką skalę uczuć i namiętności.

Na chodniku przed wspomnianym domem stał oficer w towarzysztwie kobiety, pogrążeni w pogawędce.

Nagle nadeszła do rozmawiającej pary druga kobieta i bez istotniejszego wstępu z parasolką w ręce rzuciła się na towarzyszkę porucznika i poczęła ją siarczyć okładając, gdzie ręką.

Napadnięta, ochłonawszy z pierwszego strachu i przerażenia, jęła się bronić, posługując się ciężką torebką.

Pojedynek rozpoczął się na dobre. Parasolka z jednej, a torebka z drugiej strony migały błyskawicznie w powietrzu, padły krótkie urwane wyrazy i wykrzykniki a bolesne razy.

Oficer, widząc, co się święci, szybkim krokiem opuścił plac boju, zauważony niestety przez przechodzących kilku kolegów, którzy reiteradę powitali wybuchem śmiechu i docinkami.

Walka kobiet toczyła się jeszcze przez chwilę. Zwyciężyła jednak parasolka, jako dłuższa i lepiej nadająca się do fechtunku.

Właścicielka torebki po krótkiej walce, otrzymawszy cios w twarz, z przeciętą i krwawiącą wargą, porosiła o zawieszenie broni. Oświadczenie swoje sformułowała krótko i węzłowato:

„Przecież on chodzi do mnie od roku, a ja nie miałam pojęcia, że jest żonaty!”

Oświadczenie to rozbroiło właścicielkę parasolki. Natychmiast zaprzestała walki, pospieszyła nawet z romocą kontuzjowanej i wzięwszy ją pod rękę, poszła z nią w stronę parku. Po drodze wyznała bardzo interesujące wynurzenia.

Wtajemniczeni opowiadają, że cała sprawa powstała na tle niewierności małżeńskiej pana porucznika. Żona jego prawowita przeżywała, że mężulek nie bardzo przejmie się złożoną swego czasu przysięgą wierności małżeńskiej, nie mogła jednak znaleźć dowodu zdrady.

Poszukiwania jej i śledztwo, dopiero dzisiaj przypadkowo zostały uwiecznione pomyslnym rezultatem.

Obie panie najprawdopodobniej zawrą ścisłe przymierze, którego ostrze niewątpliwie zostanie skierowane przeciwko mężczyźnie — temu tyranowi i gnębielowi rodu niewieściego.

Dezertjerzy łódzcy lubią podróżować

Jeden odjechał aż do Brazylii.

(p) Wydział konsularny przy poselstwie polskim w Rio de Janeiro nadesłał do jednej z miejscowych władz protokół, sporządzony z dezertera IV dyonu samochodowego w Łodzi oraz list tegoż, prostujący pierwotkowe zeznania, — jedno i drugie w dość orwinalną ujętą formie.

Otóż dezertjer zgłosił się do konsulatu z prośbą o wizowanie mu paszportu na przejazd do Francji i przedłożył dowód osobisty, rzekomo wizowany przez komisariat rządu na m. Łódź, na nazwisko Antoniego Błaszczyka.

Paszport okazał się fałszywym. Zainteresowany petent opowiedział, iż jest podoficerem za-

wodowym IV dyonu samochodów i wstąpił swego czasu, namówiony przez ks. Nadolskiego do P. P. P. (słynne Pogotowie Patryjotów Polskich), a później otrzymawszy od niego paszport wyjechał do Brazylii.

W liście swoim, zaczynającym się: „co do odebrania mego paszportu, to się mówi trudno, ale to przecież w Brazylii, gdzie jak się chce, można zrobić wszystko” — odwołuje swe zeznania, przeczając jakoby należał do P. P. P. i znał ks. Nadolskiego.

Paszport fałszywy kupił w Warszawie, niemożąc doczekać się zwolnienia z wojska,

I tacy bywają.

Pan Gertig jest inwalidą, ale nie takim, że byłby już do wszelkiej pracy niezdolnym, lecz owszem, wygląda jak człowiek zupełnie zdrowy, bo ma tylko mało uszkodzoną rękę, co niewiele przeszkadza mu w zawodzie kupieckim, który obecnie sprawuje.

Mianowicie nie przeszkadza mu jego poszkodowanie wojenne w ubieganiu się o dostawę dla wojska, a czyni to sposobem bardzo rafinowanym, bo chcąc usunąć z drogi niewygodnych sobie konkurentów, usiłował pewnego dziennikarza nakłonić do napisania do „Rozwoju” sensacyjnej notatki, że intendentura zamierza dostawę powierzyć żydom, którym udało się zjednać sobie dwu oficerów, decydujących w sprawie. Owego dziennikarza był na tyle ostrożny i polecił p. Gertigowi, aby sam to napisał i doniósł którejśkolwiek redakcji. Ale pan Gertig tego nie uczynił, więc jego zapewnienie musiało być widocznie tworem bujnej fantazji typu nieuczciwej konkurencji.

Nieuczciwość swą objawia p. Gertig atoli jeszcze w drastyczniejszy sposób. Otóż wyprowadzając się z pokoju umiłowanego przy ul. p. Wolności 2, kładzie swej gospodyni na stół 20 zł., bo właśnie tyle wynosił zaległy od pół miesiąca czynsz. Gospodyni oczywiście natychmiast wzięła pieniądze i wydała panu Gertigowi rzeczy jego, zatrzymane dla ubezpieczenia swej pretensji. Pan Gertig zaś, kładąc pieniądze na stół, widocznie wcale nie myślał pozostawić ich gospodyni, tylko jej niemiła zaczął oczy, bo po wydanii swych rzeczy wszczął gwałt, że gospodyni mu te pieniądze ukradła. Niewinna kobieta pobiegła na policję, prosząc o pomoc. Przybył z nią mieszkaniec posterunkowy policji. Policjantowi począł p. Gertig opowiadać,

że gospodyni skradła mu położone na stole 20 złp. i pobrała mu różne rzeczy ze zamkniętego kosza. Doraźne dochodzenie ustaliło jednak, że p. Gertigowi z kosza ani spileczka nie zginęła. Ale biedna gospodyni ma na skutek doniesienia p. Gertiga dochodzenia policyjnego z powodu rzekomej kradzieży owych 20 złp.

Niewinność gospodyni jest jasna, ale czyż nie powinien p. Gertig zostać za ten szantaż przykładnie ukarany?

Może się jeszcze tego doczeka, bo m. i. podpisał i wydał całą paczkę weksli, które teraz jeden po drugim idą do protestu. Sprawa tych weksli kwalifikuje się jako pasmo oszustw, bo były wystawiane na imię firmy, której był współnikiem, ale której samodzielnie zastępować nie miał prawa.

P. Gertig handlował hurtowo drzewem, sprowadzanym z kresów wschodnich, a robił tak świetnie interesy, że nawet dla siebie

I parę bućków wziął na weksel, który także na czas nie został wykupiony, choć kwota wynosiła tylko 35 złp.

Dziś wyjechał p. Gertig za nowymi interesami na kresy. Płaci przecież jako inwalida

tylko 50 proc. taryfy kolejowej.

Czyżby takiemu inwalidzie nie należało odebrać raz na zawsze prawa do ulgowego biletu kolejowego?

Tacy inwalidzi, to zakada rzeszy inwalidów, dotkniętych nieraz dotkliwą niedzą, spowodowaną ułomnością, poniesioną w ofiarę służbie i obronie kraju, ale nigdy nie planując swego honoru żołnierskiego, honoru żołnierza polskiego.

Zac.

Łódzki turniej lawn-tennisowy.

„Le roi des jeux, et le jeu des rois” — oto lawn-tennis. powiedział w swoim czasie sam Ludwik XIV; a choć coraz mniej na tym padole absolutnych monarchów, to jednak tennis w swojej królewskiej roli nadal panuje niepodzielnie. Na łódzkim gruncie ciernistymi drogami rozwoju chadza ten sport; tem większe znaczenie dla jego propagandy ma doroczny turniej łódzkiego klubu, który jest zresztą jedyną zasługą zrzeszenia sportowego arystokracji, wobec szerokokich warstw społeczeństwa.

Łódź, ta, która posiada dziś bodaj najlepsze boisko footballowe w Polsce, Łódź, w której ostatnimi laty drgnęły wszystkie gałęzie sportu, nie posiada ani jednego po rządniego kortu do użytku publicznego. Dość wspomnieć, że Kraków ma ich 25, tyleż Poznań, nieco mniej Warszawa, a łatwo zrozumieć nasze ubóstwo na tem polu. Tennis dlatego, że jest królewskim, dlatego, że rozwija estetykę i harmonię ruchów, powinien się dostać do najszerzych kół. Niestety! Nie wszyscy są w stanie łożyć wydatki na utrzymanie kortów. Ci zaś, którzy mogą spularyzować piękny sport na lokalnym gruncie, zadawają się wyłącznie eksploataowaniem rozkoszy, płynących z jego używania. Na tak czarnym tle zasług łódzkiego klubu, tem jaśniej odbija się jedyny promyk — doroczny turniej, dla wszystkich dostępny, który rok rocznie wypada świetnie. O ile organizatorzy łódzkiego turnieju nie słyną, jako ofiarni działacze na polu sportowym, to jednak jako gospodarze potrafią zadowolić wszystkich. Dlatego to turniej łódzki jest imprezą najlepiej obsyfaną przez wszystkie towarzystwa krajowe, a Gdańsk deleguje do Łodzi rok rocznie elite swoich rakiet. Ba! Turniej w Łodzi jest zakrojony na szerszą miarę nawet, niż zmagania o mistrzostwo Polski, które w tym roku odbyło się w Poznaniu.

Gry dnia pierwszego dały nieznacznie zgromadzonemu widzom, dopiero przedsmak uczt sportowych. Gros gości jeszcze się nie zjechało, a Gdańsk, którego mistrz Bauer jest zarazem mistrzem Łodzi, na jutro zapowiedział swoje przybycie.

REZULTATY.

Finał gry juniorów, do którego doszli pp. Mirtenbaum i Pruchniewicz przyniósł pierwszemu z nich ciężko wypracowane zwycięstwo. P. Mirtenbaum wygrał 4:6, 6:4, 6:1 zastąpienie. Zwycięzca w tej konkurencji rokuje nadzieje na przyszłość.

W grze pojedynczej panów z wyrównaniem spotkali się pp.: Gul — Neuman.

P. Gul zeszedł zwycięzca z kortu, bijąc młodego przeciwnika 6:2, 6:3. P. Gul rozporządza oryginalnym servicem, który przypomina nieco figury choreograficzne. U p. Neumana podobać się mogą w pięknym stylu wykonywane smatche. P. Szeibler pokonał p. Gajdę 6:3, 6:3, który był jednak dla łódzianina przeciwnikiem o równorzędnej klasie. Bez trudności udało się pobić p. Lewensteinowi p. Heymana 6:1, 6:1, aczkolwiek więcej rutynowanej grze partnera, przeciwstawił p. Heyman umiejętności stylowo ładniejsze.

P. Raszig, któremu szczęśliwy los pozwolił od razu dostać się do drugiej rundy wraz z p. Fiszerem, pokonał go łatwo 6:1, 6:2, poczem załatwił się z p. Bernhardem 6:1, 7:5.

Trening sopocki przydał się panu Raszigowi, a jego gra w której na wyróżnienie zasługują matche, może się podobać.

Match między p. Elsnerem a Lip szycem skończył się zwycięstwem p. Elsnera 6:2, 6:1.

Trzy matche pań nie przyniosły wiele emocji. Panna Kühnel nie miała trudności z pokonaniem panny Benichoway 6:1, 6:2. Również krótko bawiła się mistrzyni Polski p. Wiera Rychterówna z panną Steinert, bijąc ją bez wysiłku (w sweatrze) 6:0, 6:2.

Match pań Wotizówny i Lipertówny skończył się zwycięstwem pierwszej. Panna Wotiz zastosowała względem przeciwniczki skuteczną metodę, która polegała na tem, że dawała jej dużo piłek na back — hand, a ponieważ ten ruch był piętą achillesową pokonanej, więc straciwszy w ten sposób większość punktów musiała panna Lepertówna przegrać, choć grę przewyższała partnerkę.

Na kortach w Helenowie już od wczesnego ranka codziennie kontynuowanym będzie turniej, a że piękna aura jesienna dopisuje, więc niech sportowcy za największą przyjemność uważają sobie odwiedzenie tej pierwszorzędnej imprezy.

Dom.

Dr. med. Gustawa Zand-Tenenbaumowa
Choroby Kobiect i akuszerja
Wólczńska N. 4.
Przyjmuje od godziny 3 do 5 popołud.

Dr. J. M. Haltrecht
Akusz. i choroby
kobiect.
Przyjmuje od 10—11
i 4—6.
Piotrkowska 26.

Dr. S. Kantor
Specjalista chorób
wenerycznych skór
nych i włosów w.
ul. Piotrkowska 144
róg Ewangelickiej.
Telefon 29—45.
Godz. przyjęcia: od 9—2
6—8 w. Dla nań. 5—9

JACK LONDON.

Schwytyany.

Nasi dotychczasowi dozorczy zabrali nasze kajdanki i wrócili do miasteczka Niagara, podczas gdy my, pod konwojem nowych dozorców, zostaliśmy zaprowadzeni do więzienia. Byliśmy jeszcze w kancelarii, gdy przyprowadzono świeże transporty więźniów. Wyśleliśmy wszystkich razem, w grupie czterdziestu ludzi.

Mówię wam, którzyście nigdy w więzieniu nie siedzieli, że stosunki tam są tak zastrzone, jak stosunki handlowe w średniowieczu. Co parę kroków można się natknąć na ciężkie żelazne drzwi i bramy — zawsze zamknięte.

Na początku zaprowadzono nas do pokoju fryzjerskiego. Zatrzymano nas w „przedsionku”. Ten „przedsionek” nie był korytarzem. Wyobraźcie sobie wydłużony szescian, zbudowany z cegieł i wysoki na 6 pięter. Każde piętro posiada, mniej więcej, do 50 cel. Krótko mówiąc był to jakby wielki równoboczny ul. Dokoła tego ula ciągnął się dom; tak mniej

więcej wygląda „przedsionek” twierdzy Erie — County. Ażeby uzupełnić ten obraz, należy dodać jeszcze galerję z żelazną barierą, biegnącą wzdłuż każdego piętra. Wszystkie te galerje są połączone żelaznymi drabinkami w jednym z kątów.

Odrzuć w pierwszym „przedsionku” musieliśmy zatrzymać się i czekać na urzędnika, który miał otworzyć drzwi. Tu i owdzie ukazywali się więźniowie z ostrzyżonymi włosami, ogolonemi twarzami, w pasiastych ubraniach więźniennych. Wpadł mi w oko jeden z nich, stojący na galerji trzeciego piętra. Stał pochylony z wyciągniętymi przez barierę ramionami; wydawało się, że patrzy w przestrzeń. Mój przyjaciel wydał przytłumiony gwizd. Wiezień spojrzał w dół. Obaj dawali sobie jakieś znaki rękoma. Po chwili ujrzałem tłumoczek mego przyjaciela unoszący się w powietrzu.

Wiezień schwył zrecznie pacuszkę i szybko schował ją za koszulę; poczem patrzył znowu obojętnie przed siebie. Przyjaciel mój poradził mi kiedyś, abym go naśladował we wszystkim. W od powiedniej więc chwili, gdy dozorca odwrócił się od nas, posta-

Wstrząsający dramat w domu warjatów.

Obłąkany doktor rozcina skronie dyrektorowi.

Redaktor jednego z dzienników londyńskich, zamieszkały ze swą młodą, uroczą małżonką w willi podmiejskiej, był nad wyraz szczęśliwy.

Praca dawała mu zupełne zadowolenie, a chwile wolne, spędzone przy boku ubóstwianej małżonki, były prawdziwą rozkoszą.

Dnia pewnego dostał zaproszenie do zwiedzenia zakładu dla obłąkanych, znajdującego się w okolicach Londynu. Ogromnie uradowany zaproszeniem zawiadomił o tem swoją żonę z prośbą, by się jak najprędzej ubierała. Lecz ta odmówiła.

Jako przyczynę podawała swój okropny sen i dziwne przeczucie, które ją skłania do pozostania w domu.

Lecz mąż nalegał; chcąc nie chcąc ubierała się i z ciężkim sercem pojechała.

Po kilku godzinach jazdy, ujrzała kontury wysokiego budynku, który swym niesamowitym wyglądem wzbudzał przestrasz i zgrozę. Na wstępie uwagę ich zwróciła

okropna, nie do zniesienia cisza w całym domu, jakby ludzie wymarli, nie słysząc było nie tylko rozmowy, ale nawet kroków; nic, tylko ciągła

cisza, przerywana jedynie krzykami furjatów i jękami melancholików.

Dziwnym wydawało się dyrektorowi i żonie jego, iż przechodząc przez korytarze i poczekalnie, nie zauważają ani jednego z posługaczy lub doktorów.

Nareszcie, gdy już doszli do gabinetu dyrektora, drzwi tegoż uchylły się i

na progu stanął wysoki stary mężczyzna.

Imponujący wzrost i postawa jego poważna, myśląca twarz, twarz człowieka, który już wiele

cierpień i bólów przeżył, stalowoszare oczy, o wyrazie nieubłagany, przebiegały jakby na wskroś i wywlekały z piersi tajemki duszy.

Silnie wysunięty podbródek i ostre zarysy szczęk, dawały dowód tego, iż

właściciel ich jest człowiekiem o silnej woli, nie znoścy najmniejszego oporu.

Oстрыm, metalicznym głosem spytał o cel wizyty, a dowiedziawszy się z kim rozmawia, przedstawił się jako dyrektor szpitala, prof. dr. Boylen.

Po kilkunastominutowej rozmowie zaproponował gościom obejrzenie wnętrza zakładu, a uzyskawszy ich aprobatę, zaczął ich oprowadzać z jednej sali do drugiej, tłumacząc niezrozumiałe dla nich urządzenia. Nareszcie doszli do szerokich drzwi z napisem: „Gabinet chirurgiczny”, z za których rozlegały się rozdzierające duszę jęki i odgłos krzyków, śmiechów i t. d.

Dyrektor zmieszał się, chciał się cofnąć, lecz było za późno, gdyż żona redaktora zauważyła wypływającą z pod drzwi cienką strugę krwi, która, niby lśniący czerwony wąż, rysowała się na tle nieskazitelnej białości podłogi.

Na krzyk przerażonej kobiety drzwi się otworzyły, a widok, który ujrzały, mógł zamrozić krew w żyłach najodważniejszego człowieka.

Pokój był pełen ludzi, a raczej nie ludzi, a upiórów.

Kobiety i mężczyźni, w białych kaftanach wychudli, z oczyma gorączkami i wypiekami na policzkach, obok martwo-białych ze spuszczonej powiekami, robiących wrażenie chodzących trupów.

Na środku pokoju stał wielki stół operacyjny, okrażony kilkoma ludźmi, wśród których rej wodził mężczyzna z rozwidrzoną

czarną brodą i palającymi oczyma. W ręku kurczowo ścisnął wielki, zakrwawiony nóż kuchenny, a pochylając się nad ciałem leżącym na stole, mówił:

„Otoż moi kochani uczniowie, przejdziemy do badań szczegółowych nerwu ocznego, który wam w tej chwili pokażę”.

Z temi słowy wbił nóż w skronie leżącego.

Widok ten był nad siły dla redaktora i jego żony.

Na ich okrzyk zgrozy, cała hurma ludzi rzuciła się na nich i przemocą ciągnęła do miejscy obchodnej operacji.

Oprawca, dzierżąc swój okropny nóż w ręce, stanął nad redaktorem i

w półgodzinnem przemówieniu objaśniał zgromadzonemu warjatom znaczenie nerwów ocznych, ich rozwój, przyczyny osłabienia i t. p.

Związane mu redaktorowi włosy dębem stanęły. Czując, jak furjat nożem dotyka jego skroni, był pewien, że jego ostatnia godzina wybiła,

że zmasakrują go w ten sposób jak jego poprzednika.

W tem dał się słyszeć hałas i tupot, do sali wpadła gromada dozorców z pałkami gumowymi w rękach, i, widząc, co się święci, razami pałek zapędziła warjatów do zajmowanych przez nich cel.

Okazało się, iż warjatów udało się wyrwać z klatek i zamknąć całą służbę w kuchni.

Ofiarą ich stał się jedynie dyrektor zakładu, któremu wyrwał nerwy oczne jeden z najniebezpieczniejszych furjatów, były doktor okuliści, który na tem tle postradał zmysły.

Na redaktorze, który był o włos od śmierci, wypadek ten zostawił swój wpływ, gdyż zachorował na ciężkie zapalenie mózgu.

Wyprawa po egzotyczne tańce.

Henryk Mondorf jest najbardziej znanym nauczycielem tańca w Nowym Jorku.

Jego instytut na Fifth Avenue, w nowojorskiej dzielnicy miliardów odwiedzany jest przez najlepszą publiczność. Panie i panowie z nowojorskiej arystokracji finansowej, pobierają w szkole tańców Mondorfa lekcje tanga, szimmy i blues. — Pomysłowy tancmistrz zdaje się tem nie zadowalać, ale żywi projekty na szerszą skalę. Albowiem „Chicago Tribune” donosi, że Mondorf

powziął śmiały plan zreformowania gruntownie sztuki tanecznej i

zastąpienia ulubionych salonowych modnych tańców przez zupełnie nowe choreograficzne kreacje.

W tym celu zamierza udać się w daleką podróż w poszukiwaniu oryginalnych tańców. Tura, którą sobie wyznaczył, obejmuje przede wszystkim

Chiny, Koreę, Siam, Indję i Japonję.

W tych krajach, nawet najlepszy amerykański baletmistrz może się od tamtejszych mieszkańców wiele nauczyć. Mondorf żywi nadzieję, że

w krajach Azji centralnej odnajdzie tańce narodowe, które w przyszłym sezonie będą robiły furorę w amerykańskich palacach tańca.

Możemy się zatem i u nas w Europie przygotować do tego, że dni tanga, szimmy i jawy, których pochodzenie również jest egzotyczne, są już policzone.

Przedsiębiorczy amerykańsin przed wyjazdem

zawarł umowę z 300 teatrami, kabaretami i tanecznymi barami.

Nowe tańce mają być w tych 300 lokalach wykonywane po raz pierwszy przez egzotycznych tancerzy.

mówili. Wszystkie kieszenie opróżniły się. Zapalki, tytoń, bibułki na papierosy, fajki, nożyki, pieniądże, wszystko zginęło w obszernych koszulach fryzjerów, przytyli aż; dozorczy udawali, że nic nie widzą. Mówiąc krótko: ani odrobinka z tych wszystkich przedmiotów nie wróciła do prawych właścicieli. Fryzjerzy, ani przez chwilę nie mieli zamiaru oddać tego, co zabrali. Uważali te rzeczy za należną im część łupu. Był to ich dochód poboczny. Jak się dowiedziałem, i w więzieniu były zarobki poboczne ale, dzięki mojemu przyjacielowi, nauczyłem się ich unikać.

W pokoju tym było parę foteli, a fryzjerzy pracowali bardzo szybko.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak szybkiej roboty fryzjerskiej. Aresztanci sami się mydliłi, fryzjerzy golili: jeden człowiek na minutę. Strzyżenie włosów trwało trochę dłużej. W trzy minuty moje osiemnastoletnie oblicze zostało ogolone z puszku, a głowa stała się podobna do kuli bilardowej. Brody, wąsy, ubrania — wszystko gineło. Na honor, straszny to był widok, gdyśmy stanęli gotowi. Zauważyłem, że Bóg nas opuścił. Następnie wszyscy, mniej

więcej 50 ludzi, stanęliśmy nagiśienicy, jak bohaterowie Kiplinga. Rewidowanie nas było najłatwiejszą rzeczą w świecie. Zostały nam tylko buty i my sami. Tylko dwaj lub trzej nierozumni, którzy nie uwierzyli w wymowie fryzjerów, zatrzymali swoje rzeczy. Wszystko zostało natychmiast skonfiskowane. Po rewizji wydano nam nowe ubiory: mocne koszule i spodnie z marynarkami w bardzo rażące paski. Gdy już włożyłem na siebie te oznaki hanby, poznałem przedsmak więzienia.

Szliśmy pojedynczo, jeden za drugim, każdy następny trzymał ręce na ramionach poprzednika. W ten sposób przemaszerowaliśmy do innego „przedsionka”. Tutaj zostaliśmy ustawieni w długie szeregi przy ścianie; kazano nam obnażyć prawe ramie. Młody człowiek, student medycyny, mający się ćwiczyć na takim bydle, jak my, przeszedł wzdłuż całego szeregu. Szczęśliwie nam tyfus z błyskawiczną szybkością. Uprowadzono nas, ażeby nie drapać ranki póki nie zaschnie. Następnie zaprowadzono nas do cel. Odłączono mnie od mego przyjaciela, zdążył jednak szepnąć mi jeszcze: „W... ranę!”

(Dokończenie nast.)